



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



U PIASTA.

Treść niniejszego obrazu, pendzla nieżyjącego już a wielkiego talentu malarza Pruszkowskiego, najlepiej wyjaśnia niektóre strofy ze śpiewu historycznego I. U. Niemcewicza p. t. Piast.

Dzień nadszedł świetny dla skromnej drużyny,
Gdzie jak pogańskie prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.

Hoża Rzepicha i Piast nasz sędziwy
Od rana całym trudnią się obchodem;
Stół zastawiają tłustemi mięsami,
I duże czary napełniają miodem.

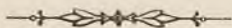
W gronie przyjaciół zaczęły się gody,
Pierwszemi dary już uczczone bogi;
Gdy dwóch młodzieńców precudnej urody
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.

Piast i Rzepicha z czołem nachylonem,
Proszą, by miejsca chcieli zająć swoje;
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym
Mnoży się pokarm i słodkie napoje.

Po uczcie, świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnemi zawołał głosami:
„Piast luby bogom — pocóż czekać więcej?
Niech będzie królem, i niech rządzi nami!”

Skromny kmicz nie odrazu jednak zgodził się na wybór. Skłoniła go dopiero mowa Aniołów, którzy w nocy znowu się jemu ukazali i poznajmili, że taka jest wola Pana, który mieszka w niebie.

Jeszcze Piast dumał, gdy z jutrzeńki blaskiem,
Lud niecierpliwy tłumnie się gromadzi,
Wita go panem z radosnym oklaskiem,
I na królewskie komnaty prowadzi.



Aleksandra z Chomętowskich Borkowska.

przez Sofię Urbanowską.

(Dokończenie).

Mawiała p. Borkowska, że nie miała nigdy czasu płakać długo: Pisma których redakcją się zajmowała, musiały wyjść w oznaczonym terminie, bez względu na to, czy redaktorka cierpiała, lub nie — musiała przeto otrzeć łzy i pełnić obowiązek — i ta to właśnie konieczność pomagała jej do zwalczania bólesci. Później już cierpieć zaczęła na oczy, siły nie dopisywały, ale wola pokonywała zawsze niemoc. W dzień przeważnie zajęta interesami, stosunkami towarzyskimi i sprawami instytucji dobroczynnych, znaczną część nocy trawiła na pracy redaktorskiej.

Na półtora roku przed śmiercią, p. Borkowska z powodu nadwątłego zdrowia, uznała potrzebę rozstania się z *Kroniką Rodzinną*, i pozostania tylko przy *Wieczorach*. Ciężka ta chwila niejedną jej łzę wycisnęła. *Kronika* była środkiem bezpośredniego jej porozumiewania się ze społeczeństwem; była złotym mostem, po którym wychodziły rozumne projekta, szlachetne pomysły, i powracały w postaci czynów. Dzięki gorącemu artykułowi w *Kronice*, sypnęły się pieniądze na *Zakład siostry Julii* dla kalek nieuleczalnych, który bez żadnych niemal powstawszy funduszy, dziś wznosi piętra własnego gmachu. Dzięki serdecznej wymowie redaktorki, powstała *Ochrona 27*, pod wezwaniem *S-go Pawła*. Pierwsze na nią pieniądze w ilości 500 rubli, nieżyjąca już dziś p. Paulina Zbyszewska przysłała p. Borkowskiej, niby dar na imieniny, po przeczytaniu *Kroniki*. Nie było żadnej niemal instytucji dobroczynnej, do którejby pani Borkowska nie przyłożyła ręki. Sama szczupłemi bardzo rozporządzającą środkami, nie mogła tych instytucji wspierać materyjalnie, ale była źródłem, z którego tryskały tysiące drobnych strumyków i zamieniały się w rzeki, któremi płynęło miłosierdzie. Ona to z p. Agnieszką Helwich obmyślała sposób założenia *Schronienia dla nauczycielek*; ona powzięła myśl urządzenia *Przytułku dla służących* i *Domu dla kobiet samotnych*, który to pomysł bliskim jest urzeczywistnienia.

Uczucie miłosierdzia było już niejako we krwi tej rodziny. Jest przy ulicy Nowowiejskiej, za sztachetami, wśród ogrodu, piękny budynek murowany trzypiętrowy z dwoma pawilonami. Budynek ten, to *Schronienie paralityków nie-*

uleczalnych. Pierwszą jego założycielką była p. Izabela z Orłowskich Piłsudzka, ciotka p. Borkowskiej, która jej w tem dziele czynnie i gorliwie pomagała. *Schronienie* otwarte niegdyś na innem miejscu, w jednym pokoiku, w którym mieściło się kilka kalek, i z funduszem tylko 300 rs., dziś głównie dzięki ofiarności hr. Feliksa Sobańskiego znacznemi rozporządza funduszami, mieści się w pięknej siedzibie i daje przytułek stu pięćdziesięciu chorym, dla których już niema nadziei wyleczenia. Pierwotna założycielka nie żyje od lat kilkunastu, a od jej śmierci p. Borkowska wraz hr. Łubieńską była główną *Schronienia* tego opiekunką. Ona to dalej rozwijając myśl ciotki, słodziła los nędzarzom przykutym niemocą do łóża, myśląc nietylko o ich potrzebach, ale nawet o przyjemnościach i upodobaniach; to też dnie w które ich odwiedzała, a zdarzało się to regularnie dwa razy na tydzień, były dniami radości dla Zakładu. Sama widziałam z jaką witano ją tam miłością, jak wyciągano ręce do tej, co nietylko znała wszystkich po imieniu, ale pamiętała nawet odnoszące się do nich okoliczności i szczegóły; do tej, co niosła każdemu dobre słowo, pociechę, drobnostkę jakąś, uścisk serdeczny. Pani A. Borkowska chodziła między nimi, jak matka pośród dzieci, rozpromieniona, szczęśliwa. Chwila ta nigdy mi nie wyjdzie z pamięci — jak również i druga, gdy zaraz, po pogrzebie, udałam się do tego Zakładu, prowadzona na sale przez przełożoną, która pragnąc uzupełnić materyały do tego życiorysu, wezwała chorych, aby mi powiedzieli czem była dla nich p. Borkowska. Na wezwanie to odpowiedzią były łzy, wymowniejsze nad wszelkie wyrazy...

Nurtująca ją oddawna choroba serca, od dwóch lat już przybierała niepokojące rozmiary. Objawiało się to cierpieniem nóg, których bardzo należało oszczędzać, unikając wszelkiego zmęczenia. Nie powstrzymało to jednakże p. Borkowskiej od częstego odwiedzania paralityków, gdzie chodziła po wszystkich piętrach, potrzebując nieraz, zwłaszcza w ostatnim roku, kwadrans czasu na przebycie jednego, i wlokąc się z trudnością. Od Nowego roku choroba tak szybko postępowała, że p. Borkowska zmuszoną była położyć się do łóżka, z którego już nie wstała. Cała jej istota jednak tak była na wskroś przeniknięta pragnieniem niesienia ulgi nie szczęśliwym, że pomimo ciężkich cierpień, nieraz zrywała się, wołając: że „musi wstać koniecznie, żeby się przekonać, czy nie da się co zrobić dla tych biednych ludzi.” O paralityków swoich dopytywała się też ciągle w spokojniejszych chwilach, i interesowała ich potrzebami.

Można sobie wyobrazić, co się działo przy ulicy Nowowiejskiej na wieść o zgonie takiej opiekunki!

Pogrzeb s. p. A. Borkowskiej odbył się w dniu 28 Lutego, o godz. 12-iej w południe, z Kościoła S-go Krzyża. Trumnę jej całkowicie pokryły wieńce z kwiatów, z serdecznemi a wymownemi napisami: od rodziny, przyjaciół „od wdzięcznych paralityków”, od dzieci „z ochrony”, od „współpracowniczek”, od „działwy polskiej” — i wiele innych. Ta co za życia nie rwała kwiatów dla siebie, choć siała je ciągle dla innych pośród cierni odchodziła teraz okryta niemi, jak tryumfatorka. Kondukt prowadził J. E. ks. biskup Ruskiewicz w asystencji liczego duchowieństwa, poprzedzony przez działwę z ochrony. Szła też gromadka młodych czytelników *Wieczorów Rodzinnych*, szły uczennice z kilku pensji, oraz zastęp kół inteligencji i przedstawicieli literatury z Adamem Pługiem i Ludwikiem Jenike na czele. Liczne tłumy ludzi przypatrywały się pogrzebowi, tem osobiłemu, że obok trumny wieziono na dwukołowych wózkach czterech paralityków. Oprócz tego, w dorożkach jechało dziesięciu, których na cmentarz nieść musiano. Wszyscy pragnęli oddać ostatnią posługę zmarłej, i błagali aby ich zabrano, ale niepodobna było wszystkich zadowolnić.

Trumna jej spoczęła obok trumny wiernego przyjaciela i współpracownika, Antoniego Edwarda Odyńca, obok matki i braci, w rodzinnym grobie.

Piękna postać p. Aleksandry Borkowskiej zasługuje aby ją pomieszczono w szeregu owych zasłużonych bogobojnych

niewiast, które żyć umiały dla drugich z zupełnem o sobie zapomnieniem, a których imiona przekazują sobie ze czcią dzieje i pokolenia. P. Adam Pług mówiąc o jej życiu w *Kuryerze Warszawskim*, wyraził się, że „piękne światło zagasło”. Ono samo istotnie zagasło, ale rozpało dookoła tysiące pochodzących od niego światełek. U tego serca, które tak niedawno bić przestało, ogrzewali się ludzie, bo było gorące i pełne miłości bliźniego. Zapalali przy jego świetle swe kaganki i szli z niemi w świat smutku i niedoli, niosąc ubogim i cierpiącym wsparcie i pociechę.

Gdy sobie chcę uprzytomnić p. A. Borkowską taką, jak ją widziałam raz ostatni, w trumnie, w czarnej, niemal zakonnej sukni, podobnej z prostoty do tych w jakich chowano dawne matrony, i z różańcem u pasa — taką cichą i spokojną wobec gorących łez i pocałunków, jakimi uwielbiają ją rodzina i przyjaciele okrywali jej ręce, to choć wiem że te usta wymowne umilkły na zawsze, zdaje mi się, że się poruszają i słyszę głos: „Czy nie da się co zrobić dla biednych ludzi, dla nieszczęśliwych?”

Wieczory Rodzinne nadal trzymać się będą tego samego kierunku jaki niegdyś zakreśliła im Maryja Julia Zaleska, a szerzej rozwinęła p. Aleksandra Borkowska. W programie ich główne miejsce zajmować zawsze będzie miłość Boga i bliźniego — w tem dwojgu bowiem wszystko się zamyka. Miłość ta daje niewyczerpane źródło najczystszych rozkoszy: ona tych, co żyją szczęśliwi u ognisk rodzinnych, uczy lepiej i rozumniej kochać; ona bezdomnym sierotom daje rodzinę i rozgrzewa zziębnięte serca, — ona wreszcie jest podstawą szczęścia ludów i narodów.

NIEDZWIEDZ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

VI.

— Już to śnać tak sądzono, żeby od początku roku nie było w naszym zamku ani jednego dnia bez gości lub jakiegos nadzwyczajnego zajęcia — mówiła pani Antoniowa do marszałka zakroczymskiego zamku.

— A jejmość chciała, żeby dni się przesuwwały, jak paciorki w różańcu — odpowiedział pan Ignacy.

— Co to za bezbożne porównanie grzesznych dni do świętego różańca, — odrzekła ochmistrzyni wzruszając ramionami — Aleć od czasu, jak przyjechałam z imci panią kasztelanową zaraz po jej ślubie, nie było takiej, jak teraz krętaniny.

— A acani dobrodziejce coraz ciężej się krzątać, boć to i latka idą, — rzekł śmiejąc się marszałek.

— Jeszczeć mi lata nie ciężą, boćem w ciało nie wzrosła nie skarżę się też, Boże uchoвай, jeno ot tak mówię i podziwiam naszą jejmość, że ma taki układ w głowie, a przed tak daleką podróżą o najumięjszej makule pamięta.

— Ba, nie wszystkie białogłowy mają rozum krótki, choć włosy długie, inna to i włosów się wyzbędzie, a rozumu ani krzty.

Pani Antoniowa miała wielką ochotę odpowiedzieć na to niegrzeczne ozwanie się imci marszałka, zacerwieniła się nawet z wielkiej alteracji, nie było jednak czasu na dalszą gawędę, bo właśnie pacholcy wnieśli ogromną skrzynię podróżną, którą miano napełnić szatami dla jaśnie wielmożnej pani kasztelanowej, jako też i dwóch jej córek.

Niebawem weszła też i jejmość kasztelanowa w codziennym, domowej roboty wełniaczkę i sycowej chustce mister-

nie na bujnych włosach związanej, a spojrzawszy na wielki kufer rzekła:

— Ten będzie tylko na odświętne suknie, — trzeba jednak i drugi przynieść z lamusa, bo oprócz szat osobistych, trzeba też zabrać makaty do wysycielania ścian i kobierce do zasłania ław, stołów i podłogi.

— Alboż to dla jaśnie wielmożnego kasztelana nie będzie w takim wielkiem mieście godnego mieszkania? — spytała ochmistrzyni.

— Ach, co też to waspani mówi, moja Antoniowo, czyż to wypada żebyśmy zajeżdżali do cudzego domu i nie przybrali go przystojnie! Wczoraj jeszcze pan kasztelan wysłał umyślnego, żeby dom dla nas wynajął, trzeba się z tem spieszyć, bo imci pan Orba który z zaproszeniem na koronację przyjechał, powiada, że zjazd będzie niepowszedni, to i o locum właściwe będzie trudno.

— Eh! dla jaśnie wielmożnego kasztelana i jego rodziny, zawsze się znajdzie locum, — rzekła z pewną dumą ochmistrzyni.

I zaraz dodała:

— To i podniebie czerwone nad łożę trza zabrać, a też pewnie i te wysokie świeczniki imci pan marszałek każe zapakować.

— Co do świeczników, sreber i innych kosztowności to już niech tam sobie myśli pan Ignacy, my i tak mamy dość na głowie, — odrzekła kasztelanowa.

— Oj, co prawda, to prawda! Przecie trzeba i o pięknem przystrojeniu dla kasztelanek pomyśleć, boć to tam pewnie i na dwór królewski wypadnie, a zawsze w stolicy, takim wielkiem mieście, nie chodzi się w samodziałkach, jak tutaj.

— To też już pomyślałam, — odrzekła kasztelanowa — dla Jadwisi przerobi się z mojej panińskiej czamlotowej zielonej ze złocistą lamą u dołu i kołnierzem, a dla Anusi z tej błękitnej poljubki, com ją na wyprawę dostała. Jeno trzeba oszyć puszkiem białym, boć sobolowe brzeżki nie dla niej.

— Co nie, to nie, toć to tylko dla statecznej białogłowy; a co puszku, też nie braknie. Tyle się gęsi teraz zabiło, kazałam sobie pooddawać zdarte nie skubane szyjki, jeno je sama muszę wyprać i roztrzepać, — bo to, panie odpuść, — na nikogo się spuścić nie można! — mówiła ochmistrzyni układając do wielkiego kufra rozmaite szaty.

Jeżeli w komnatach pani kasztelanowej panował ruch daleko większe jeszcze czyniono przygotowania do podróży, ze strony kasztelana.

W stajni, zbrojowni i szatni, wszyscy się krzątali, kilku krawców i kuśnierzy pod okiem pana Ignacego pracowało nad odświeżeniem, lub przerabianiem barwistych kontuszów, żupanów, bogatym suknem podbitych delii, czapek sobolowych i rozmaitego odzienia, nietylko dla samego kasztelana, lecz dla trzech jego synów i Kazika.

Oprócz zaś krętaniny i niezwykłego zajęcia około przygotowań do wyjazdu, goście się zjeżdżali. I jeszcze śnieg nie zdążył przyprószyć śladów po odjeżdżających z imienin pana kasztelana, kiedy przybył imci pan Orba szlachcic z pod Piotrkowa, który z rozkazu sejmu objeżdżał Mazowsze rozpoznając wici o mającej się odbyć 20 lutego 1530 roku koronacji małoletniego Zygmunta.

Z imci panem Orbą przyjechał jednocześnie znany nam już dworzanin królowej Bony, Basaty, który jako świadom drogi, wysłany został po Kazika, aby go niezwłocznie na dwór królewski dostawił.

— Jaśnie wielmożny kasztelanie, istne czary dwór jaśnie wielmożnego pana rzucił na naszego miłościwego królewicza. Od czasu jak powrócił, nie jeno o zakroczymskim zamku wspomina, — mówił Basaty, kłaniając się do kolan panu Baltazarowi.

— Miłeć mi słowa waszeci, a milsze jeszcze i to, że pod moim dachem upodobało sobie królewskie dziecię.

— Ba, jak nie miało upodobać! toć każdemu tu jak w niebie; to też nasz królewicz wciąż opowiada nietylko o Kaziku, którego chce mieć dworzaninem, a którego wciąż

niedźwiedziem nazywa, ale i o jaśnie wielmożnych kasztelanach, jako się z nimi cudnie zabawiał i o jaśnie wielmożnych kasztelankach, co go pierniczkami obdarowały. Ba nawet o pieśniach i muzyce, mówi, że cudniejsze od muzyki wyprawianej na dworze królowej.

— Hm, hm, w łaskawych oczach królewicza, — odrzekł kasztelan.

I zaraz dodał:

— A może tylko w wymownych ustach waszeci.

— Jaśnie wielmożny panie, gębę mi Pan Bóg dał do gadania, alic jestem wysłany przez królową jejmość i miłego nam królewicza, toć mi się godzi jeno słowa ich powtórzyć, zabrać za waszem zezwoleniem młodego dworzanina i wracać co rychło

— Nie mam nic przeciw temu, jeno wiedz acan, żeś nie do karczmy zajechał żebyś wygadawszy pocić przysłało, zaraz miał nawracać, — odrzekł kasztelan.

— Pozostanęć, jako wola ja-

do pana Ignacego, któremu przytem opowiadał o wielkich uroczystościach, jakie mają nastąpić w Krakowie.

Niewielec on sam o tem jeszcze wiedział, boć zaledwie po powrocie dwie noce przespał, a już mu kazano nawracać, nie przeszkadzało mu to jednak niestworzone rzeczy opowiadać, tem więcej, że i pan Orba wyciągał go na słówka, a jako człowiek wielce krotochwilny z opowiadającego żarty sobie stroił.

Tymczasem pan kasztelan naradziwszy się z żoną, wydał rozkazy, żeby z jego własnej krytej flamandzkim suknem lisiurki, kuśnierz z miasteczka przerobił kubrak dla Kazika, a krawiec przypasował błękitny z jedwabnej materyi żupan. Pani Łucya zaś kazała uszykować węzełek z bielizną mówiąc:



Fig. 110. Ołowianka używana do mierzenia niewielkiej głębokości.

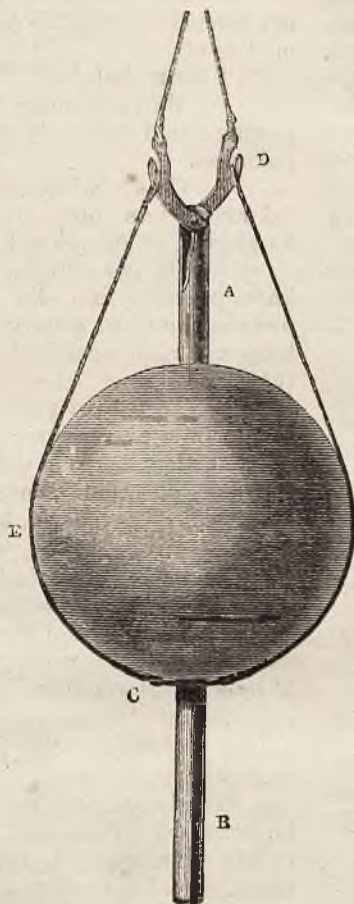


Fig. 111. Ołowianka do mierzenia wielkich głębokości w chwili spuszczenia się.

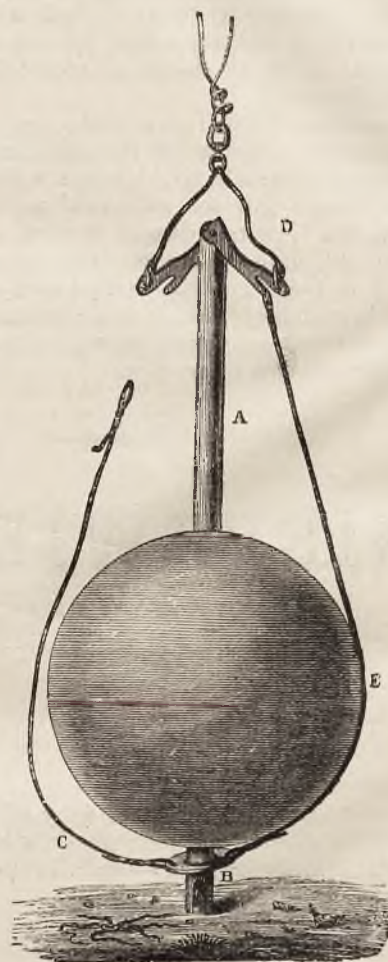


Fig. 112. Ołowianka na dnie morskiem w chwili spadania ciężaru.

śnie wielmożnego pana, jeno nie trzymajcie mnie długo, bo królewicz rzekł mi te słowa:

— A wracajcie mości Basaty, bo mi Niedźwiedź podczas koronacy potrzebny.

— Jeno kukielkę zabrać można zaraz z kramu, gdy się za nią zapłaci, boć i konia bez obroku i opatrzenia, a też bez uzdy, uczciwy szlachcie nie puści, a wy chcecie, żebym tak bez opatrunku krewniaka puścił. Zamanawszy będzie wszystko gotowe, a że i my z całym dworem na koronacy zjeżdżamy, toć wam łacniej będzie onego się trzymać.

— Honor nam przynosi łaska jaśnie wielmożnego kasztelana, alic nam wracać kazano... — odparł kłaniając się dworzanin.

— A to jedźcież sobie! — rzekł, machnąwszy ręką pan Baltazar.

Basaty skłonił się do kolan i poszedł na poczęstunek

— Toćiem go jako syna wychowała, trzebać jako syna opatrzyć.

— Szczęście spotyka chłopca, aleć niech nie powiedzą, żeśmy go bez odzienia wypuścili — dodał kasztelan, i kazał zawołać Kazika.

— Pójdźno ze mną, — rzekł — niedługo już tu będziesz popasać, trzeba, żebyś wszystkie kąty obszedł, a zapamiętał, boć niewiadomo kiedy znów będziesz, a może i nigdy.

— A toć mnie chyba stryju nie wypędzacie, a jakoście mi swą łaskę okazowali tak i nadal ją zostawcie, — rzekł Kazik, schylając się do nóg pana Baltazara.

— Nie mówię o wypędzaniu, boć dotąd nie zohydziłeś się niczem, jeno ci to powiadam, że dworskie życie ślizkie, patrzaj więc żebyś nie upadł. Wielu tam spotkasz ludzi różnego charakteru i różnej dobroci, jeden ci zajrzy łaski pań-

skiej, drugi będzie schlebiał, umiejże sobie z nimi poradzić. Boć dwór królewski to wielki młyn, zwożą tam zboże aleć trzeba ziarno od plewy rozpoznać. Masz też i szczęście do ludzi, aleć go nie nadużywać ani chępić się nim nadto nie trzeba.

Tak gawędząc doszli w podwórzec, a pan kasztelan zatrzymał się przed stajniami i zawołał:

— Hej, wyprowadzić mi tu dzikiego kasztanka.

Masztalerz zjawił się zaraz, a nie pozwalając tknąć się czeladnikowi, sam własnoręcznie wyprowadził młodego, ślicznej budowy a nader ognistego konia. Wyprowadzając zaś spojrział z pod oka na Kazika i uśmiechnął się nieznacznie.

— Dosiądź no, możeć ci się lepiej uda, niż gościom! — rzekł kasztelan do Kazika. — Wstyd mnie było, że żaden z przybyłych nie mógł go pokonać, a swoim przy gościach pozwalać nie wypadało, — dodał na poły do siebie!

Koń nie był osiodłany, przez cienką jego ciemno-złotawą skórę znać było nabrzmiałe w burzoną krwią tętno, a rozszerzone nozdrza świadczyły, iż trudna to była do poskromienia sztuka.

Kazik na rozkaz stryja zaczerwienił się po same uszy, spojrział na rozognionego rumaka, który dotąd tylko jednemu masztalerzowi pozwalał się prowadzić i nie namyślając się długo odstąpił kilka kroków, rozpędził się i podskoczył na grzbiet konia, a nim ten zdołał się opamiętać, ścisnął go kolanami i uchwycił uźdę z rąk masztalerza.

Koń parsknął, wstrząsnął się cały, usiłował stanąć dęba zrzucić jeźdźcę, lecz trzymany silnie kolanami nie mógł tego uczynić. Wyrzucił więc kilka razy łbem, uderzył niecierpliwie kopytem, okrył się pianą, wreszcie widząc, że wszelkie usiłowania pozbycia się jeźdźcy na nic się nie zdadzą, począł iść zwolna, wkrótce jednak puścił się tak szalonym galopem, iż zdawało się że i koń i jeździec padną bez tchu lub nawet bez życia. Kazik pochylił się nieco, trzymał jednak rozszalałego rumaka. Masztalerz i kasztelan nie śmieli rzec słowa, patrzyli tylko, czy aby zwierzę nie wpadnie na jaką zapórę, która go od razu o upadek przyprowadzi.

Podwórzec był pusty, umyślnie ku takim harcom raz na zawsze przygotowany, kłody drzewa leżały tylko tuż pod ścianami budynków, te więc nie przeszkadzały do biegu. Lecz wrota wychodzące na drugi podwórzec były otwarte, bano się więc, ażeby koń wybiegłszy za nie, nie trafił na porozstawiane sanie i wozy. Ale Kazik z całym wysiłkiem zmusił szalonego rumaka do ominięcia wrót i raz wtóry obiegał do koła podwórzec.

Koń widząc próżne usiłowania, zaczął zwalniać pędu, a okrążając trzeci raz, biegł już tylko zwykłym galopem. Wreszcie wstrzymany silną dłonią, stanął na miejscu, robiąc pierścieniem, błyskając zakrwawioną żrenicą i ziejąc rozdętymi nozdrzami, z których obficie spływała piana.

Zaledwie Kazik osadził konia, masztalerz pochwycił go przy chrzypach i zarzucił na łeb ciemną zasłonę. Kazik zeskokczył, a foryś nakrył wełnianą derą zwierzę spienione, które dało się teraz prowadzić i szło powoli, czując, że znalazła się siła, która jego nieugiętą dotąd wolę do posłuszeństwa zmusiła.

Lecz Kazik, stanąwszy na razie krzepko zupełnie, zachwiał się nagle i mimo całego wysiłku runął jak długi na ziemię.

Kasztelan z najwyższą troskliwością pochylił się nad nim, zbiegli się ludzie, usiłowano go podnieść, ale chłopiec błady, nie dawał prawie śladów życia i na wielkiej derze musiano go ponieść do zamku.

— Kazik, Kazik! — zawodziła załamując rączki Anusia, która ujrawszy przez okno idących ostrożnie z leżącym, wybiegła na podsiennie.

— Mamo, Kazikowi się coś stało, przynieśli go jak nieżywego! — zawołała Jadwisia, wbiegając do matki. Rzeczywiście Kazik leżał na dwóch zestawionych ławach w tej samej wielkiej komnacie, w której przed kilku dniami krążyły puhary i rozbrzmiewały głośnie rozmowy go-downików. Leżał błady bez ruchu, a Anulka odgarniała mu z czoła włosy wołając:

— Kazik, Kazik, obudź się, ja nie chcę, żebyś był taki błady, taki smutny.

I ocierała mu czoło, po którym krople zimnego potu spływały.

(d. c. n.)

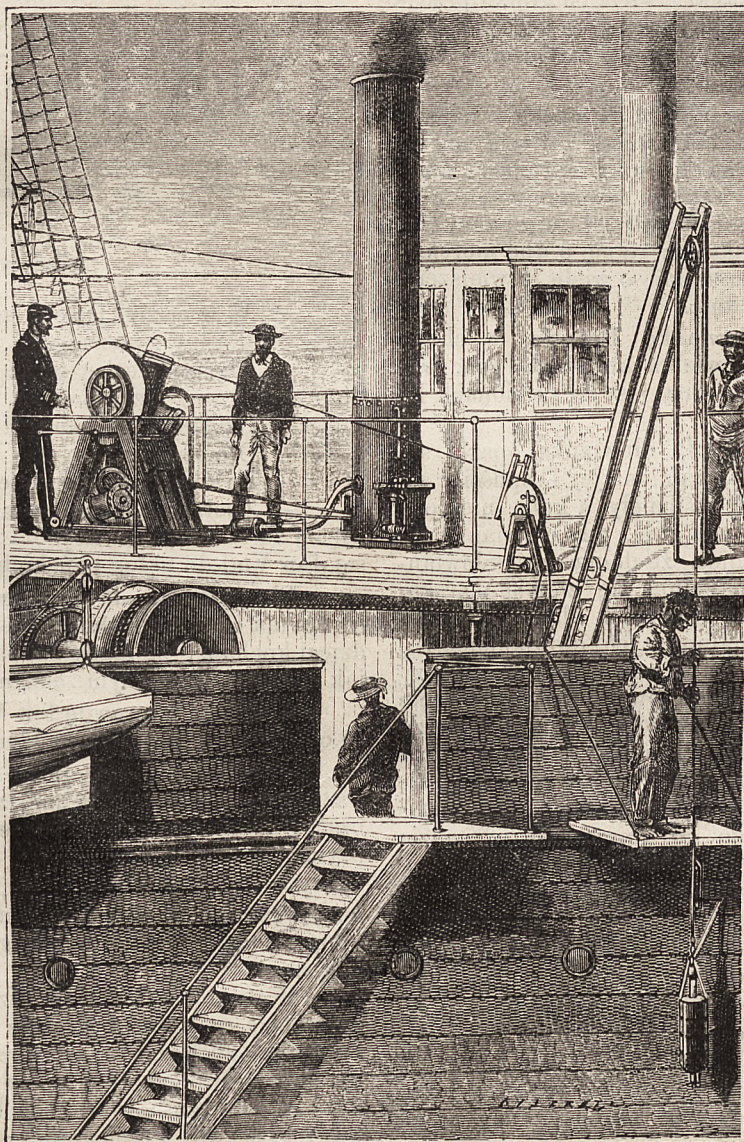


Fig. 113. Spuszczanie ołowianki na okręcie Talisman.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg.)

Na ryc. 110 widzimy ciężar ołowianki A., przez który biegnie pręt żelazny C. zakończony u góry pierścieniem przeznaczonym do przywiązania sznura albo drutu; u dołu widzimy wiaderko B., jest to naczynie do zacierpnięcia próbki ziemi z dna morskiego. Nad wiaderkiem znajduje się krążek skórza-

ny D., gdy ołowianka się spuszcza, to wskutek oporu wody, krążek podnosi się do góry. Gdy zaś ciężar ołowianki oprze się o dno, wiaderko B. napełnia ziemią; przy podnoszeniu się ołowianki skórzany krążek (wskutek tegoż oporu wody) przylega szczelnie do wiaderka, zakrywa je i zapobiega wysypianiu się ziemi.

Atoli łatwy ów sposób sondowania może być zastosowanym jedynie na niewielkiej głębokości, a niepraktycznym się staje w wielkich otchłaniach najprzód dla tego, że ołowianka przynosi zbyt małą próbkę dna, a powtórę, podczas długo trwającego wyciągania ołowianki, wiaderko ociera się o wodę, często się wypróżnia i nie przynosi żadnej próbki. Zresztą wyciąganie takiej ołowianki z wielkich głębín przedstawia niesłychane trudności z powodu ogromnego ciężaru ołowiu oraz długości odwinętego sznura. Musiano tedy udoskonalić pierwotną ołowiankę.

Różne bywają kształty ołowianek obecnie używanych, lecz wszystkie one mniej lub więcej zbliżają się do przyrządu, wynalezionego w 1854 r. przez marynarza amerykańskiego Brooke. Główna zasada teraźniejszych ołowianek polega na tem, że ciężar, który służył do jej zanurzenia, spada w chwili, gdy ołowianka opiera się o dno morskie; wyciąganie ołowianki staje się następnie o wiele łatwiejszem, ponieważ ciężar jej pozostał na dnie.

Na ryc. 111 widzimy ołowiankę Brook'a w chwili spuszczenia się; ciężarem jej jest wielka kula metalowa, ważąca około 80 funtów, kula zawieszona jest na ramionach D. ołowianki.

Ryc. 112 wyobraża chwilę, gdy ołowianka oparła się o dno morskie swym końcem B, ramiona jej D spuściły się przytem na dół, sznury się z nich ześliznęły, a kula, nie podtrzymywana już niczem zostaje na dnie, gdy ołowiankę zaczęną podnosić. Dodajmy na koniec, że dolna część ołowianki posiada wydrążenie, które napełnia się ziemią morską; przy podnoszeniu zaś ołowianki skórzana klapka zamyka szczelnie to wydrążenie. W najnowszych ołowiankach zamiast kuli, używają walca, któremu woda stawia mniejszy opór. Sznur wreszcie zastąpiono stalowym drutem, o wiele lżejszym od sznura konopnego i dlatego wyciąganie z morza ołowianki wymaga mniejszej siły. Pomimo to stalowy drut jest bardzo mocny, gdyż może utrzymać ciężar równający się 140 kilogramom, t. j. około 350 naszych funtów. Drut smarują tłuszczem, aby uchronić go od zniszczenia w wodzie morskiej. Spuszczanie ołowianki do wielkiej głębiny trwa go dzinę, z powodu oporu wody; a wyciąganie ołowianki bez ciężaru wymaga około dwóch godzin.

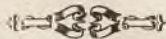
Rzecz naturalna, że spuszczenie ołowianki do wielkich głębín wymaga skomplikowanych przyrządów. Ryc. 113 przedstawia właśnie chwilę spuszczenia ołowianki na okęcie *Talisman*. Nie wchodząc w szczegóły tej trudnej czynności dodamy tylko, że drut długość 8,000 metrów nawinięty był na walec, a odwijał się i nawijał za pomocą maszyny parowej. Prócz tego specjalny przyrząd automatyczny wciąż wskazywał na cyferblacie, ile metrów druta zostało odwinętych, a gdy ołowianka oparła się o dno, i przyrząd automatyczny nagle się wstrzymał, wówczas odczytywano na cyferblacie głębokość morza.

Dzięki owym udoskonaleniom pomiary głębín morskich dokonane przez *Talismana* są nadzwyczaj ścisłe. Podczas sondowania okręt był o ile możności nieruchomy.

Pomiary oceanu były dotychczas zamało jeszcze liczne tak, iż głębokość jego w wielu miejscach znana jest za ledwie w przybliżeniu, albo też wcale nie jest znana. Dla tych to przyczyn w naszych czasach niepodobna jeszcze było nakreślić mapy dna morskiego z taką dokładnością, jaka cechuje mapy lądów. Spodziewać się jednak możemy, że w przyszłości ląd podmorski będzie ludziom równie dobrze znany, jak ziemia po której chodzimy. Obecnie jedynie morze Śródziemne i ocean Atlantycki znane są hydrografom lepiej od innych mórz, a to dlatego, że są one otoczone cywilizowanymi krajami, przeto badania były tu łatwiejsze, niż na innych morzach. Zwłaszcza morze Śródziemne, na dnie którego

biegną tak liczne linie telegraficzne, musiało odkryć nam swe tajemnice. Atlantyk i morze Śródziemne posiadają zatem swe mapy, nakreślone wprawdzie w przybliżeniu, dają jednak dostateczne pojęcie o rozkładzie w nich wyżyn i zagłębín. Ogólnikowo powiedzieć można, że w oceanach największe głębiny znajdują się nie w środku, jakby się zdawać mogło; ale przeciwnie, leżą one w bliskości lądów, zawsze u stóp stromych gór, zawieszonych nad brzegiem morza.

(d. c. n.)



NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

— Wdzięczny jestem serdecznie za wszystko, co pan zamierza dla mnie uczynić.

— Niema za co! A teraz wypijemy sobie po kubku wina dla obłania naszej znajomości.

— Dziękuję, nie mogę dziś jeszcze przyjąć.

— Dlaczego?

— Bo nie jestem w stanie odplacić się panu tem samem.

— Zostaniesz więc pan moim dłużnikiem, a mnie też więcej zależeć będzie, abyś mi miał z czego oddać. Nazywam się Jan Vial do usług pańskich.

Nie zwłóczęc dłużej, pocziwiec ten kazał podać pół litra wina i pół bułki białego chleba, a zapewniam was, moje dzieci kochane, że nigdy żadna uczta nie smakowała mi tak, jak spożyty chleb z tym zacnym, prostym robotnikiem.

A czy też naprawdę ten Vial wyrobił panu miejsce, które obiecał? — spytał znów Henryk.

— A jakże! Nazajutrz z rana zaszedłem do tej samej restauracji, gdzie nowy mój znajomy dopomógł mi się przebrać w niebieską bluzę, poczem udaliśmy się obaj do jego pryncypała.

— Jesteś pan przyjętym, a nawet wytargowałem trochę lepsze warunki — rzekł do mnie — po chwili z nim rozmowy, i poprowadził mię zaraz do ogrodów, gdzie odtąd pracować miałem.

Wyznam wam, moje dzieci, że osłupiałem poprostu, znalazłszy się wśród tego iście zaczarowanego zakątka, w którym piękność kwiatów, owoców i warzywa, przedstawiały mi ogrodnictwo zupełnie inaczej, jak dotychczas było mi znane. A jaka tam uprawa, jak każdy kawałek ziemi spożytkowany właściwie i pielęgnowany starannie, aż miło patrzeć było! A że to zawsze miałem niejaka żyłkę do uprawy roślin, rozkochałem się formalnie, mówię wam, w tych ogrodach i lżej mi było pracować myśląc, że przykładam rękę do dzieła tak pięknego.

— I pan tam pracował jak prosty robotnik? — spytała jedna z dziewczynek.

— A naturalnie, z początku kopałem i rozwoziłem ziemię taczkami, lecz ciekawość pchała mnie, abym się coraz lepiej ze wszystkim obznajmił, to też ogrodnik, pod którego byłem nadzorem, widząc moją gorliwość, używał mnie do coraz delikatniejszych robót, wyręczał się mną coraz częściej, aż w końcu objąłem dział przeznaczony dla skończonych ogrodników.

— A z pocziwym Viałem widywał się pan zawsze? — spytała Stasia.

— Łączyła nas przyjaźń nieledwie, bo co za prawość duszy, jakie złote serce kryło się pod bluzą tego pracy oddanego człowieka. Po Andrzeju Pfalfym nie pamiętam, abym

kogo tak kochał jak jego. Kiedym mu dziękował za to wszystko, co uczynił dla mnie, odpowiedział z prostotą: Mój panie, co się panu zdaje? Ludźmy przecież jesteśmy i powinniśmy sobie wzajemnie pomagać.

— Ale! niechno dziadunio opowie, jak to go przyjmowała cała rodzina ogrodników, gdy się dowiedzieli, kim dziadunio był przedtem, że go zdobyły szlify oficera wojsk węgierskich.

— A no tak, zdziwienie było wielkie, a tego wszystkiego sprawcą był S., kolega mój z pułku, — odezwał śmiejąc się dziadunio.

— Widzicie, moje dzieci, zdarzyło się raz, że w teatrze dawali jakieś ciekawe przedstawienie, na które wybraliśmy się oba z Janem Vial. Teatr był przepełniony. Mimo tego spostrzegłem w pierwszych rzędach niejakiego S., o którym nawet nie wiedziałem, że był w Paryżu, a znajomość to była dawna, służyliśmy bowiem razem w pułku; S. był chłopcem poczciwym, choć trochę szalawia i lekkoduch, miał też znaczny majątek po rodzicach. Ale i on mnie niebawem dojrzał, i nie wstydząc się znajomości z kimś, co siedział aż na paradyżu, skorzystał z pierwszego antraktu, aby mnie wynaleźć, rzucił mi się na szyję i wyściskać się serdecznie, nawet z Janem Vial, którego mu przedstawiłem, jako swego przyjaciela, zaznajomił się nieco. Mnie naturalnie zasypał gradem pytań, gdzie się obracał przez cały ten czas, i co porabiam w Paryżu. Kiedy się dowiedział, że pracuję u ogrodnika, znanego zresztą w całym mieście, przyrzekł, że mnie odwiedzi i uściskawszy raz jeszcze, wrócił na swe miejsce, bo już dzwonek oznajmił podnoszenie się kurtyny.

— I odwiedził pana? — zapytał Zygmunt.

— A jakże, — potwierdził dziadunio. — Chociaż i sam myślałem, że rozbawiony życiem wielkiego miasta młodzieńiec zapomni o swojej obietnicy. Przyszedł jednak, a nie zastawszy mnie, zaproszony został do domu przez żonę mego pryncypała, która wzięwszy go za wielkiego pana (chłopiec bowiem był niezmiernie elegancki i szycowny) myślała, że przybył zamówić jakąś większą dostawę kwiatów lub owoców.

Oczywiście nie domyślałem się niczego. Wróciwszy więc do domu, udałem się jak zwykle do mego zwierzchnika aby mu zdać sprawę z poczynionych dostaw nasion, kiedy ten za mojem wejściem wstaje cały rozpromieniony, traktuje mnie z wyszukaną grzecznością i zaprasza do siebie na obiad. Nie chcę wierzyć własnym uszom, bo chociaż pryncypał nasz przypuszczał swoich pracowników niekiedy do swego stołu, zdarzało się to jednak tylko w wielkie uroczystości. Nie umiałem więc sobie tej szczególnej grzeczności wytłómaczyć. Ale co miałem robić? Ubiрам się tedy odświeżnie i idę. Tutaj zastaje już całą rodzinę zgromadzoną, a wszyscy wyświeżeni, witają mnie uroczysto i patrzą na mnie tak, jakby mnie po raz pierwszy ujrzeli. Co u licha? myślą robić. Co się stało tym poczciwym ludziom. Aż nadchodzi też S. i rzuca mi się na szyję. Wtenczas mój zwierzchnik poczyni mi prawić o honorze, jaki go spotkał, że wśród swoich pracowników liczy mnie, senatorskiego syna, bo ten S. wszystko im wyśpiewał, aż do moich stosunków rodzinnych, i oficera z wojny węgierskiej.

— Śmiejąc się odpowiedziałem, że wspólny zaszczyt: on że mnie zna, a ja że pracuję w jego ogrodach, wszystko zaś zawdzięczamy szlachetności Jana Viala, którego przyjaźń, uważam za najcenniejszą zdobycz. Skutek tych naszych wzajemnych oświadczeń był taki, że i Jan niebawem zasiadł z nami do stołu, a gdy uroczysty nastrój moich gospodarzy stopniał po pierwszym daniu, reszta wieczoru przeszła wśród takiej wesołości, jak to Francuzi jedynie weseli być umieją.

— Odtąd byliśmy dość częstymi gośćmi w tym domu, a Vial, który był niezmiernie zdolnym, pracując nad sobą, nabył ogólnego wykształcenia i poloru, dał się poznać ze swoich zalet, a pozyskawszy przychyłność rodziców, wkrótce poślubił ich córkę. Teraz objąwszy na siebie część zajęć swego teścia, chciał mnie uczynić współnikiem. Była to najpewniejsza dla mnie droga do fortuny.

— I pan nie został jego współnikiem? — zapytał ktoś ze słuchaczy.

— Nie mogłem. Tęsknota za ojczyzną dręczyła mnie dniem i nocą. Więc jak tylko zebrałem trochę grosza, pośpieszyłem w swoje strony. Zegnany ze łzami w oczach przez moich zacnych przyjaciół i towarzyszy pracy, wróciłem, aby objąć w posiadanie kilka włók pustki, jaką wówczas przedstawiała Polanka.

— Co! — zawołali ze zdumieniem chłopcy — Polanka była taką pustką?

— Z jednej strony wydma piaszczysta, z drugiej dom bez dachu i okien — odpowiedział, śmiejąc się dziadunio.

— Jakże pan poradził sobie? — zapytał Zygmunt.

— A poradziłem. Miałem, widział mój chłopce, dwa cudowne narzędzia do pomocy: pracę i wytrwałość. Zasiałem las, założyłem ogród i jakoś poszło. Napracowałem się, bo napracowałem, na dłoniach miałem skórę jak kość twardą, ale też za to każde drzewko w ogrodzie, każda sosna w lesie, są moją rzeczywistą własnością, bo wypielegnowane moją własną dłonią. A wierze mi młodzi, że takie uczucie daje w życiu wielkie zadowolenie i pociechę. Ale oto późna już pora, czas na spoczynek. Dobranoc dzieci, bywajcie zdrowi! a pamiętajcie jutro stawić się na wyprawę!..

IX.

Nazajutrz po południu zdawało się, jakby wojsko karlików wtargnęło na dziedziniec Polanki, tak się tam roilo od drobnych postaci. Zgromadziła się bowiem na wezwanie dziadunia zarówno młodzież letników, jak i dziatwa przybyła na kolonię, a każde dziecko niosło na ramieniu grabie lub tyczkę od grochu. Starsze panienki i chłopcy ustawiali dzieci w gromadki niby drobne oddziały, które przechodziły pod nadzór jednego z nich. Wielkie też ożywienie widne było na wszystkich twarzach. Kiedy już całe lilipucie wojsko uszykowane zostało i każda gromadka wiedziała kogo się trzymać i komu być posłuszną, ukazał się dziadunio na ganku, w swoim ogromnym kapeluszu słomianym, i popatrzywszy z zadowoleniem na taki zastęp, zawołał wesoło:

— Do szeregu, naprzód, marsz! I ruszył sam na czele, a dziatwa postępowała za nim ochoczo, pilnując się porządku.

W pół godziny potem znaleźli się wszyscy na piaszczystej wydnie pod młynem. Była to istna pustynia: piaski i nie tylko piaski, jak okiem sięgnąć, w którąkolwiek bądź stronę. Te to wydmy dziadunio, przybrawszy sobie do pomocy młodzież, zadrzewiał od lat kilku, a wspólna praca staruszka i dzieci, polegała na tem, że otrzymane nasienie z zebranych ubiegłego roku szyszek w lesie, zasiewano tu w piasek z tak pożądanym skutkiem, że znaczną już część wydmy pokrywały drobne wyrostki sosenek, podobne do małych gałązek wyrosłych szparagów. Obecnie już niewielka część tej przestrzeni pozostała do zasiania, i dziadunio ułożył sobie że dokokończy w tym roku chwalebne swego dzieła.

Małe wojsko wkroczyło na piaszczystą przestrzeń. Tutaj dziadunio ustawił dzieci szeregiem o trzydzieści kroków jedno od drugiego i komenderując, zalecił każdemu zakreślać tyczką lub trzonkiem od grabi przebieżoną przez siebie przestrzeń, podzieliwszy w ten sposób wydnię na dość równe kwadraty, które następnie starsi zasiewali, a drobna dziatwa pracowała grabiami, aby rzucone nasienie nie uniósł wiatr, lub nie wybierało ptactwo. Robota szła aż miło, a co przeto było śmiechu i wesołości!

Joasia, uwijając się zżawo, czuła niezmiernie zadowolenie i uśmiechała się życzliwie do swoich małych pomocników. Nawet Zenia, zadzierająca zwykle w górę nosek, uległa temu prądowi ogólnej pracy i wesołości, a dziadunio przechadzając się wśród młodych pracowników, chwalił, pokazywał, nauczał i uśmiechał się dobrotliwie.

— Proszę pana! — zawołała Stasia, przybiegając do staruszka z zarumienioną od zmęczenia twarzą — zdaje się, że dziś skończymy już całą robotę.

— Tak — odpowiedział dziadunio — ale to jeszcze nie wszystko. Musimy usypać kopiec pamiątkowy.

— Jakże to będzie? POCO ten kopiec? — pytało zdziwione dziewczę.

— Tak się zwykło robić po dokonaniu porządnego dzieła i my tak zrobimy. Sporządzimy więc akt, w którym opiszemy co i jak zrobiliśmy, podpiszemy się na nim wszyscy co do jednego imieniem i nazwiskiem, wsuniemy papier do butelki, zakorkujemy mocno, włożymy w piasek i usypimy na tem miejscu wysoki kopiec. A proszę tylko wyobrazić sobie, jak to za lat sto. dajmy na to, ktoś go rozkopie i z dokumentu się dowie, że te drzewa, które wysoko już wtedy oczywiście wyrosną, sadziły dzieci ot i takie małe, nie mające więcej nad lat siedm.

— Śliczna myśl, proszę pana! usypimy, usypimy kopiec! — zawołała Stasia.

Zamiar ten podobał się nietylko Stasi, lecz cała gromadka przyjęła go z niezmiernem zadowoleniem. Podjęto teraz myśl: kto ułoży akt i w jaki sposób.

— Ja ułożę! — zawołał Zygmunt, którego ojciec był rejentem — W kancelaryi mego ojca układają się rozmaite akty: sprzedaży, kupna, mam już trochę pojęcia jak się takie rzeczy pisze.

— Bardzo dobrze, mój rejencie — powiedział z uśmiechem dziadunio. — Bardzo dobrze, wyszukujże na jutro ów dokument, a my się podpiszemy.

Zadowolony z okazanego mu zaufania chłopiec, zamyślił się poważnie, jakby już zabierał się do układania odpowiedniej osnowy aktu. Tymczasem poczynano się zmierzchać, a że robota była skończoną, uszykowano gromadkę dzieci do powrotu.

Pomimo zmęczenia kilkogodzinną pracą, twarzyczki wszystkich były wesole i pewne siebie, a gwar, rozmowy i śmiechy, nie ustawały ani na chwilę.

Na pół drogi spotkano drugą, mniej wprawdzie liczną gromadkę, lecz już dorosłych osób. Były to mamy i ciotki pozostałe na Polance, które teraz wyszły naprzeciwko dzieci. Rómcio ujrawszy swoją mamusię, wybiegł z szeregu i wymachując rączkami, zaczął opowiadać o dokonaniem dzieła, w którym i on brał udział.

— Zasiałiśmy, wszystkośmy zasiali — wołał. — Już nie będzie piasku, tylko wyrosną drzewa duże, duże i zrobi się las, taki ogromny las!

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Morze martwe w Ameryce. — Pociąg zatrzymany przez gąsienice.

Podobnie jak Palestyna, tak i Stany Zjednoczone posiadają swoje „Morze martwe”, które dla leczniczych własności swych wód, nosi u krajowców nazwę „lekarskiego”. Położone jest ono w południowej części Stanu Waszyngtońskiego, na wielkiem płaskowzgórzu otoczonem przez rzekę Kolumbią, na wysokości 610 m nad powierzchnią oceanu Spokojnego. Ponieważ w morze to nie wlewa się żadna rzeka, a poziom zostaje tu jednakowy zawsze, pomimo znacznego parowania w suchem tamtejszem powietrzu, przeto istnieje przypuszczenie, że wielkie to jezioro jest zasilane przez źródło mieszczące się wewnątrz własnej jego kotliny. Zawartość soli jest tu prawie równie wielka, jak w morzu martwym palestyńskiem, o którem wiecie z historii świętej. Według nowszych wszakże poszukiwań, jest ono zamieszkiwane przez pewne zwierzęta, mianowicie przez drobnego żółwia i osobliwą rybę długą na 20 cm. W promieniu do 2 km., dokoła jeziora brak wszelkiej roślinności na gruncie gliniastym.

Zeszłego lata (24 lipca) pociąg dążący ze stacyi Neuviég de Rouillac (we Francyi) najechał na gromadę gąsienic, pokrywających tor na przestrzeni 100 m. Gąsienice te objadły liście w lesie z jednej strony toru i przenosiły się na drugą. Mnóstwo ich zginęło pod kołami pociągu, ale jednocześnie wywiązało się tak silne tarcie, że pociąg stanął i mógł ruszyć w dalszą drogę dopiero wtedy, kiedy oczyszczono szyny z żywych, jak również i ze zgniecionych liszek.

Zamiast wieńca na trumnę ś. p. Aleksandry Borkowskiej, złożyły na ochronkę św. Piotra i Pawła Nr. 27, której zmarła była opiekunką.

Ludwika Hauke rs. 15. R. Skotnicka rs. 3. J. Szamocina rs. 3. J. Kizlerowa rs. 3. W. D. rs. 3. M. D. rs. 1. A. B. kop. 50. Pieniądze te odesłane zostały do redakcyi Kuryera Warszawskiego; złożyła w tym samym celu W. Skarzyńska na zakład Nieuleczalnych paralityków rs. 4.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Bezimiennie rs. 1. Przyjaciółka Stokrotki kop. 50. Gołąbek z nad Wisły rs. 1 kop. 50.

Dla najbiedniejszych bezimiennie rs. 2.

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY**, na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: U Piasta, wiersz (z ryc.) — Aleksandra z Chomętowskich Borkowska. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Na polance, powieść E. Jerlicza. — Z dalszego świata. — **Dodatek:** U ciotki Polci (z ryc.) — Modlitwa dziecka, wiersz przez M. D. — Wróbelki przez Z. B. — Gołąbek Bożenny. — Łami-główki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

KONKURS KALIGRAFICZNY.

Wyraźne, kształtne i czyste pismo jest w stosunkach życiowych rzeczą wielkiej wagi. Wszystkie niemal zajęcia i obowiązki nie mogą obyć się bez pisania, a każdy człowiek choć trochę wykształcony musi co najmniej listy pisywać dla utrzymania stosunków z krewnymi i znajomymi, i prowadzenia interesów swoich. To też do kaligrafii, czyli sztuki pięknego pisania należy się przykładać gorliwie zwłaszcza w początkach, kiedy się ręka najlepiej układa, a uczący się mają jeszcze wiele wolnego czasu.

Z listów i liścików, które odbieramy od czytelników Wieczorów, niektóre są pisane porządnie i ładnie, inne zaś pozostawiają nieco do życzenia. Pragnąc przekonać się, o ile wszyscy nasi młodzi przyjaciele i przyjaciółki *do lat 10 włącznie* dokładają starań w tym kierunku, oraz chcąc ich do tego zachęcić, urządzamy dla nich konkurs kaligraficzny.

W tym celu prosimy o nadsyłanie prób swojego pisma *do dnia 1 maja* r. b., a najlepsze, względnie do wieku piszącego, otrzymają od redakcyi nagrody w książkach.

Jak zwykle, próbę pisma pisać należy w dwóch liniach i co najmniej na pół arkusza dużego formatu. Każdy piszący winien podać: *dokładny adres imię, nazwisko i latu swoje*. Kto nie dopełni tych warunków, nie może się spodziewać nawet wzmianki w sprawozdaniu.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Już pozaginałem wszystkie paski, ale nie chcę leżeć płasko — rzekł Henryś.

— Trzeba wsunąć czubek każdego zagiętego paska pod czubek niezagiętego, np. czubek *a* pod trójkącik znajdujący się na jednym końcu, czubek czwarty pod pasek pierwszy i t. d.



(fig. 5).

— To wcale nie trudne i bardzo ładnie wygląda jak jest skończone (fig. 5); jaka to będzie wyborna zakładka do książki.

Zosia przypomniała sobie, że widziała u niani w książce, krzyżyk pleciony w ten sposób i poprosiła cioci, aby ją nauczyła jak się to robi.

— Chętnie — rzekła ciocia. — Trzeba najpierw naznaczyć formę krzyża na papierze za pomocą linii i ołówka, a potem wyciąć starannie podług narysowanych linii. Potem należy złożyć wpół każdy kawałek, ażeby znaleźć sam środek krzyża. Od tego środka trzeba zacząć. Złóżcie najpierw krzyż wzdłuż i potnijcie go w ukośne pase-



(fig. 6).

czki tak, aby się rozchodziły od środka (fig. 6). Potem złóżcie go we czworo i znów potnijcie ukośnie w tym samym kierunku co pierwsze. Wreszcie trzeba je zapleść tak samo, jak poprzednią zakładkę do książki.

Gdy krzyżyk został ukończony, Zosia pobiegła pokazać go niani i pochwalić się swoją robotą.

— Teraz zrobimy coś nowego — rzekła ciocia — ale tylko Irence i Kaziowi powiem na ucho, jak się to nazywa, wy starsi musicie sami zgadnąć. Weźcie po kwadra-

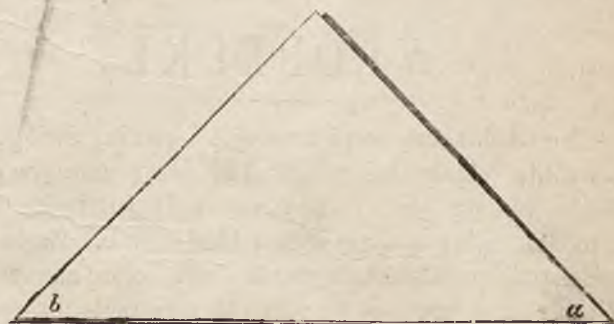


fig. 7.

towym kawałku papieru i złożcie go na wpół na ukos (fig. 7) kolorową stroną na zewnątrz. Dwa rogi nazywają się *a* i *b*

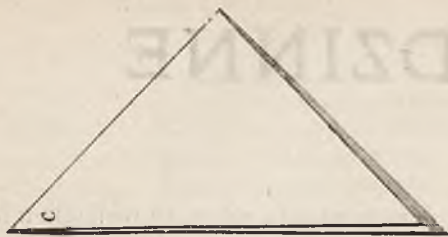


fig. 8.

(fig. 8). Górny róg nazwiemy *c*. Teraz połoście róg *a* na *c*, odwróćcie na drugą stronę i połoście *b* także na rogu *c*.
(*d. c. n.*)

Modlitwa dziecka.

Gdy do modlitwy uklęknie dziecię
I swą duszyczkę wzniesie do Boga,
To jakaś radość idzie po świecie,
A w sercu cichną bóle i trwoga,
Gdy dobre modli się dziecię.

I przez złociste słońca promienie,
Przez tych gwiazd srebrnych przecudne blaski,
Przez nocy nawet ponure cienie
Płyną na ziemię szczególne łaski,
Gdy dobre modli się dziecię.

Chylą się trawki, chylą się drzewa,
Kwietnym kobiercem jaśnieją łąki,
Radośniej piosnkę swą ptaszek śpiewa,
Ziele swe barwne rozchyła pąki,
Gdy dobre modli się dziecię.

I milkną w dali odgłosy gromu,
Lśniący łza smutku prędko osycha,
I anioł szczęścia wchodzi do domu,
I cała ziemia stoi wkrąg cicha
Gdy dobre modli się dziecię.

I schodzą ku nam biali anieli
Po tych tęczowych promieniach zorzy
I całe niebo wraz się weseli,
Bo tak łaskawie słucha Duch Boży,
Gdy dobre modli się dziecię.

M. D.

WRÓBELKI.

Na dachu cztero-piętrowej kamienicy świegocą nasze wróble. Mały Jaś mieszkał ze swoją mamą w ciasnej izdebce tak wysoko, że nad nią były już tylko chmury i obłoczki, ulicy zaś nie było widać wcale. Za to po dachu skaczą wróbelki, a mama Jasia, choć zawsze pilnie szyje bieliznę, opowiada o różnych zwierzętach, wesołych ptaszkach, przytem zbiera okruszynki chleba, które Jaś rozdaje potem swoim gościom.

Bo wróble były prawie jedynymi jego gośćmi. Na poddasze domu, które ma aż 4 piętra, niechętnie ludzie

zachodzą. Ale wróbelki fruwały bez zmęczenia, często więc odwiedzają gościnnego chłopca.

Ot właśnie w tej chwili przyleciał pod okno duży wróbel i czyści dziobek o blachę dachu. Musiał się gdzieś dobrze pożywić, bo tłusty i kontent z siebie.

Przywitał go drugi, siedzący na rynnie, ale ten był chudszy, zabawnie roztrzepywał piórka, jak gdyby chciał dodać sobie powagi.

— Witam, witam, kochanego sąsiada, przeszłego roku mieszkaliśmy tu razem!

— A to pan Szarzalski, bardzo mi miło — odpowiedział gruby wróbel — doprawdy nie poznałem, bo też podróżowałem dużo tego lata.

— Pan, panie Kręcicki nigdy nie posiedzisz na miejscu, powiedzże mi co słychać na szerszym świecie? Tu w Warszawie nudy; nie dziwię się innym ptakom, że na zimę odlatują w cieplejsze kraje.

— To zupełnie jak ja, panie Szarzalski, mnie tu nie bawi. Spędziłem jesień na wsi, i przynajmniej nie-głodny bywałem na stertach z pszenicą, ale czyż tu może co zająć rozumnego wróbla?

Wtem z komina odezwał się głos starej wróbliczki, znajomej Jasia, która tu oddawna miała swoje gniazdko.

— A wstydzicie się tak mówić, moi panowie. Widzę, że słusznie ludzie darmożjadami nas nazywają. Żyjecie z ich pracy, bo się wam nie chce nawet muchy złowić, i zamiast być wdzięczni, obgadujecie ich jeszcze. Moje dzieci nie nudzą się wcale. Niszczą szkodliwe owady, żeby się wywdzięczyć człowiekowi za jego pracę, a światogotem chwalą Pana Boga, który im dał życie.

Pan Kręcicki i pan Szarzalski, usłyszawszy tę naukę, stracili fantazję i pofrunęli dalej, ale mały Jaś podsłuchiwał tę rozmowę i odtąd wszystkie uzbierane okruszki sypał wróbliczce z komina za to, że uczyła dzieci pracować i kochać to co swoje, bo mama Jasia uczyła go tego samego.

Z. B.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

Słowa te wymówione przez córkę w serdecznym żalu, stały się dla matki, jakby promieniem światła wśród ciemności.

— Łaska Boża podała ci te słowa, dziewczeczko moja — zawołała pani Zalitowska po chwili ogólnego milczenia, bo oto przychodzi mi na myśl, że rzeczywiście jedynie ptak, jedynie gołąbek Bożenny oddać nam może tę pożądaną przysługę. Słyszałam jeszcze od ojca mego, że w krajach niektórych używają gołębi jako posłańców do miejsc, które im są znane. Spieszmy się więc wysłać naszego do Ostrobrzegu. Ptaki mają zmysł szczególnie wyszukania sobie dróg najkrótszych w swych napowietrznych wędrówkach. Ufajmy, że gołąbek Bożenny będzie chciał wrócić do swej dawnej pani i w drodze tej nie zbłądzi.

— Ach matuchno kochana, cóżby to za szczęście było, biegnę zaraz po gołąbka. On się też wcale nie będzie gniewał, że znów pobuja w powietrzu, tak dawno już siedzi zamknięty tam na górze w pokoju — wołała Ludmiła pełna dobrej wiary.

— Idź dziecko spiesźnie, a ja tymczasem spróbuję opisać w krótkich słowach wszystko, co wiemy o zamierzonej napaści cyganów.

W parę chwil potem kawałek najcieńszego papieru, jaki był w domu, zwinięty starannie w rulonik, jako list do pana Ostrobrodzkiego, zawierający konieczne ostrzeżenie przed grożącym nieszczęściem, wisiał, przywiązany wstążeczką, u szyi oswojonego ptaka.

— Widzisz mój maleńki — mówiła Ludmiła, całując go w łebek — to rzecz bardzo ważna co tu masz u szyjki, pamiętaj oddać to swej pani, do której leć jak będziesz mógł najprędzej! I otworzywszy okno puściła gołąbka, który jakby zrozumiał słowa dziewczęcia, zatoczywszy jedno i drugie koło, w prostej linii skierował się w stronę zameczka.

— Teraz pozostaje nam jeszcze modlitwa, aby Bóg błogosławił dobrym naszym zamiarom — rzekła zacna wdowa — i klękawszy rozpoczęła piękny psalm Jana Kochanowskiego: Kto się w opiekę poda Panu swemu...

Nagroda.

Właśnie dnia tego i o tejże prawie porze, siedziała Bożenna obok matki swojej, wykańczając pilnie haft jakiś w krosnach. Myśli jej błądziły po kalinowskim dworku, bo szczerze stęsknioną była za swymi młodymi przyjaciółmi, gdy nagle lekkie stuknięcie w szybę okna zwróciło jej uwagę.

— Gdyby nie pewność, że mego gołąbka tu niema myślałabym, że to on prosi, abym go wpuściła — rzekło dziewczę — i westchnęło smutnie, nie podnosząc wszakże oczu od roboty. Za powtórne jednak stuknięciem zerwała się żywo i poskoczyła do okna.

— Mateczko, mateczko — zawołała w tejże chwili, to naprawdę mój gołąbek, poznaję go, to on niezawodnie — tylko, że ma czerwoną wstążeczkę u szyi; pewnie Ludmiła tak go wystroiła, a on jej uciekł, mały niepoń! Chodź, chodźże teraz, kiedy przypomniałeś sobie Ostrobrzeg — i trafiłeś do nas, ty mądry ptaku, mówiła ujmując gołąbka w obie ręce i pieszcząc go delikatnie.

— Ale mateczko, tu u wstążki przywiązany jest, paperek jakiś — zawoła po chwili, co to może znaczyć?...

— Domyślam się, że z listem od twej przyjaciółki przyleciał gołąbek — rzekła pani Ostrobrodzka z uśmiechem — odwiąż wstążeczkę i pokaż mi ten papier.

Bożenna spiesźnie spełniła polecenie swej matki, która nie przeczuwając nic'złego, z uśmiechem zadowolenia rozłożyła list, niebawem jednak twarz jej poblądła i z widocznym niepokojem rzekła:

— Jakie to szczęście, że ojciec dotychczas nie wyjechał, jak to było jego zamiarem, poproś go prędko tu do pokoju, moje dziecko. List z Kalinówki ważnych udziela nam wiadomości!

P. Ostrobrodzki powiadomiony o wszystkim zwołał służbę, a ze stanowczością i spokojem właściwym rycerzo-

wi, który w niejednej trudnej chwili znajdował się już w swym życiu, wydał odpowiednie dla bezpieczeństwa zamku rozkazy. Podniesiono most zwodzony, zatarasowano bramę, i zbrojną straż rozstawiono na wałach. Z nadejściem wieczoru zabronił nawet zapalać światła, a mieć baczenie na każdy ruch w pobliżu. Wyćwiczona załoga spełniała rozkazy pana szybko z wielkim spokojem, by nie zdradzić się niczem przed czujnym zapewne nieprzyjacielem. Gdy noc rozpostarła swe cienie nad zameczkiem Ostrobrodzkim, wśród głębokiej ciszy, wysunęli się cyganie ze swych kryjówek, pewni łatwej i bogatej zdobyczy. Zawiedli się wszakże rabusie. Celnie wymierzone strzały ręcznej broni z wału zameczka, zadały cios śmiertelny idącym śmiało na przedzie a wywołując popłoch wśród bandy całej, która z krzykiem przerażenia, poczęła się cofać. Wprawdzie kilku odważniejszych usiłowało powstrzymać towarzyszy i próbować napaści; nowe jednak strzały i nowe ofiary odebrały im również odwagę do tego stołpnia, że zostawiając pod wałami zarówno rannych, jak poległych w spiesznej ucieczce szukali wszyscy ratunku. Pan Ostrobrodzki wszakże wypadł za nimi jeszcze z oddziałem zbrojnych, uważając za obowiązek obywatelski, wyniszczyć do szczeru zbrodniczą bandę, która nietylko jemu szkodzić mogła.

Miedzy poległymi znaleziono głównego herszta napaśników, owego mniemanego pielgrzyma, wracającego z Ziemi Świętej, który choć śmiertelnie ranny, żył jeszcze parę godzin. Gdy mu udzielano koniecznej pomocy, by ulżyć starszym męczarniom, rzekł ze skrucą:

— Pan Bóg słusznie mię ukarał, bo ku złym czynom używałem Imienia Jego!... Zaraz nazajutrz po wysłuchaniu rannej Mszy świętej, wybrali się państwo Ostrobrodzy z Bożenną do Kalinówki, aby podziękować tym, którzy się do ich ocalenia głównie przyczynili.

Ze łzami radości powitała ich w swem domu pani Zalitowska z córką.

Gdyby nie twój gołąbek — mówiła Ludka do swej przyjaciółki, nie moglibyśmy w żaden sposób, zawiadomić was w porę o grożącym niebezpieczeństwie. Nie rozłączaj się też z nim odtąd, droga moja, niech to przywiązane do ciebie ptasze na zawsze zostanie pod twoją opieką.

Kto jednak pierwszy — dopytywał się pan Ostrobrodzki — był tyle zręcznym, że odkrył zamiary cyganów.

— Zasługa to Stefana — rzekła wdowa, i opowiedziała szczegółowo zaszłe wydarzenia: jak uczynny chłopiec podjął się przeprowadzić mniemanych pielgrzymów przez bagna, jak szczęśliwym wypadkiem zrozumiał ich mowę, i miał tyle mocy nad sobą, iż nie okazał do ostatniej chwili rozstania się z nimi doznanych w głębi duszy uczuć przerażenia i grozy.

Wspomniała też w końcu o swoim żalu i rozpaczycy obojga dzieci, wobec niepodobieństwa zawiadomienia o tem w porę swych przyjaciół, a wreszcie o szczęśliwej myśli, którą uważa za prawdziwe natchnienie z nieba, posłużenia się gołąbkim Bożenny w tej naglącej potrzebie.

— Widocznem jest, iż łaska Boża czuwała nad nami, działając przez oddane nam serca przyjaciół — rzekł pan Ostrobrodzki. — Że zaś tak wiele zawdzięczam tobie dziel-

ny chłopcze — dodał, zwracając się do Stefana — mogę też w zamian udzielić ci dzisiaj radosnej pociechy, że poszukiwania moje w odnalezieniu twojej rodziny na Węgrzech, dobry biorą obrót. Właśnie w tych dniach otrzymałem wiadomość przez znajomego mi kupca, któremu tę sprawę poleciłem, że w okolicy miasta Temeswaru, żyje rodzina szlachecka, używająca tego samego herbu, jaki jest wryty na medaliku, który zdołałeś zachować. Skoro więc tylko zbiorę jeszcze pewne a konieczne szczegóły, wybierzemy się razem do twojej ojczyzny — a może Bóg pobłogosławi dobrym moim zamiarom.

Ze łzami wdzięczności padł Stefan do nóg zacnego rycerza, a dziękując za okazane sobie serce i pamięć, zawołał:

— Jazbym mógł oglądać jeszcze rodziców moich, uściskać ukochaną matkę?... Do śmierci nie zapomnę panu radości, jaka w tej chwili przepełnia mi serce...

— Ufajmy Bogu, który różne czasem przeznacza drogi życiu naszemu, i posługuje się niekiedy małym ptakiem, jako narzędziem Opatrzności Swojej, ku poskromieniu złych, a na ratunek niewinnych — rzekł pan Ostrobrodzki, całując Stefana. — Bądź więc dobrej myśli chłopcze, bo i dla ciebie szczęście jeszcze zabłyśnąć może!

W kilka tygodni później wybrał się pan Ostrobrodzki ze Stefanem w podróż do Węgier, i po wielu trudnościach a uciążliwej niejednokrotnie drodze, zajął dnia pewnego do wsi leżącej w kotlinie, otoczonej gęstym lasem. Był to ostateczny cel ich poszukiwań.

Na widok starego zamku z wieżami, który był rezydencją właścicieli majątku, doznał Stefan dziwnego wrażenia. Nie pamiętał wprawdzie czy tak wyglądał jego dom rodzinny, lecz zdało się mu, iż miejscowość ta nie jest mu zupełnie obca.

(d. n.)

ZAGADKA.

ułożył Murzyn z nad Kengo.

Poznać mię trudno,
Zachować nudno,
Wyjdę z ukrycia,
Już nie mam życia.

Odpowiedź na pytanie w N-rze 10.

Właściwym celem przybycia cesarza Ottona do Gniezna, była pielgrzymka do grobu św. Wojciecha, lecz sława wojenna Bolesława Wielkiego i niesłychany przepych z jakim od tegóż został przyjętym, skłoniły go do uroczystego przyznania mu tytułu i władzy królewskiej. Ostatecznie koronacja Bolesława odbyła się dopiero po śmierci cesarza Ottona.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10.

Szarydy: Po — mo — rze.

Łamigłówki sylabowej:

Salamandra. 2) Armata. 3) Nosorożec. 4) Długosz. 5) Ontario. 6) Matematyka. 7) Ibis. 8) Ezop. 9) Rebeka. 10) Zelandya.

Sandomierz

Łamigłówki liczbowej:

9	3	9
3	*	3
9	3	9

Skrzynka do listów.

Arytmogryf Mieczysława U. przejrzymy i jeżeli tylko okaże się odpowiedni, pomieścimy w Wieczorach. Rozwiązanie łamigłówek dobre.

Waciowi B. Posłaliśmy już początek *Jurasia i Anulki*, których losy zdają się żywo cię obchodzić, a mamy nadzieję, że zainteresowanie twoje w dalszym ciągu wzrastać będzie.

Zofii Kl. Zaznaczaliśmy to już niejednokrotnie, że początek drukującej się obecnie powieści w dodatku nowym czytelnikom wysyłamy bezpłatnie. Należy nam się tylko 50 kop. do półrocznej prenumeraty, która rocznie z przesyłką pocztową wynosi 5 rs., półrocznie 2 rs. 50 kop.

Stały prenumerator niepotrzebnie za swoją śmiałość przeprosza, bo między redakcją a czytelnikami tylko o uczuciach wspólnej przyjaźni i zaufania może być mowa, jak wam dobrze wiadomo — wszystkie zlecenia chętnie spełniamy, a na zapytania odpowiadamy z prawdziwą przyjemnością. Otóż na przyszłość prosimy byś się do nas zwracał jak najczęściej. Rozwiązanie szarady i łamigłówek dobre, jak również odpowiedzi na pytanie historyczne. Łamigłówka o ile się okaże odpowiednią, wydrukujemy, lecz kiedy — obiecywać nie możemy, bo musi czekać swej kolei.

Czerkiesowi. Po otrzymaniu adresu wysłamy początek powieści drukującej się w dodatku a po przejrzaniu zeszłorocznych numerów, zawiadomiemy czy znajdzie się początek zabawek z papieru.

Dobre rozwiązania zadań nadesłali: Polny Bławatek, Kałużek, Firletka ze Starej Wsi, Stefan R., Polcia i Julek, Bezimienny i Młoda Gąska.

Logogryf **Wańdzi K.** przejrzymy, lecz niestety na swoją kolej czekać musi.

Chróścikowi. Spokojna ze mnie jaskółka, którą ni mrozy ni sloty nie wypędzą od tych, których kocham. Cieszy mnie powrót mych imienniczek, bo one nam wiosnę i ciepłe słonko zwiastują, ale wraz z nimi bujać swobodnie nie mogę, bo zajęcia i obowiązki nie prędko jeszcze pozwolą mi wyfrunąć z miasta. Jak to pobraze, żeś już do zdrowia zupełnie powrócił i zaraz do swej przyjaciółki napisał. Zaginiony na poczcie numer i dodatki już dawno wysłano. Mam nadzieję, żeś już przeczytał ciekawego „Niedźwiedzia” i dowiedziałeś się o zajmujących losach „Jurasia i Anulki.”

Pośmieciszce. Pamiętam dobrze twój liścik zeszłoroczny, ale zarazem mam żal do ciebie, że napisawszy drugi nie wysłałaś go wcale, proszę więc o poprawę w tym roku i nawiązanie stałej korespondencji. Arytmogryf nie jest zbyt trudny do rozwiązania, wymaga tylko uwagi i wprawy. Rozwiązanie tego, o który zapytujesz było już podane, możesz więc sama sprawdzić czy z oznaczaniem liczb zaszła jaka pomyłka. O „Zwalczono uprzedzenie” upominałam się w redakcyi i wysłano ją też natychmiast. Przesyłam ci przyjazne pozdrowienia oraz proszę byś nie zapominała o zawsze ci życzliwej

Jaskółce.